

NAUKA I ROZRYWKA

Dodatek bezpłatny do „Dziennika Bydgoskiego“ Wychodzi co 2 tygodnie.

Nr. 23.

Bydgoszcz, niedziela 7 listopada 1909.

Rok II.

Podanie gminne o założeniu miasta Bydgoszczy.

(Powieść).

(Ciąg dalszy).

Dzień był gorący i parny. Czarne chmury zbierały się i zawisły nad zamkiem, potem deszcz lunął rześisty i powietrze zadrzało od huków piorunów. W zamku wielkie przygotowania do wyprawy; pan kazał szykować rumaki i bronie, sam wziął stalową zbroję i przypasywał do boku miecz obosieczny. Córka czepiała mu się u szyi: „Ojczel! mój ojczel! pochamuj twój gniew na ten raz, zaniechaj niepotrzebnej wyprawy, widzisz jaka ulewa, słyszysz jak chuczą pioruny, widzisz rażące ich błysk! Ojczel! zastanów się ojczel!“ Ale ojciec wejrzał wzrokiem pogardy na córkę, uśmiech szyderski wykrzywił mu usta i ręką wskazał, żeby odeszła do swojej komnaty! „Ojczel!“ zawołała i wejrzała na niego wzrokiem błagalnym, ukryła oblicze w białe dłonie i odeszła. Nic nie potrafiło wstrzymać ojca, tyrana, ani lzy córki, ani rażące połyski piorunów, bo człowiek miotany burzą namiętności, nie umiający panować nad sobą, nie zna granic swym żądzom. Trzy razy zagrzmiała trąba z baszty zamku, spadł most zwodzony i na czele licznej zbrojnej drużyny wyjechał pan zamku na wrotnym koniu. Patrzał ponuro, błyskał okiem pełnym gniewu, a kiedy ostatni rząd czeladzi minął bramę, zapadł most zwodzony i drużyna puściła się z kopyta w pole. Ktędy już znaczny kawał ujechali drogi, a deszcz lał i gromy bily, obrócił się pan i mroźnym okiem przejrzał swoje szeregi, a ręką wskazując prosto przed siebie: „Ku Wiśle!“ zawołał, i znowu pędzono dalej, a jednostajny tętent kopyt końskich przerwał czasem groźny huk piorunu, a połysk błyskawicy oświecał zbroje jadących.

Trzy doby upłynęły od wyjazdu ojca, pana zamku. Sama córka z garstką czeladzi pozostała w posepnych murach; piękne oczy zapłonęły od łez nad własną dolą, nad niecnymi czynami rodzica. Boleść rozdzierała jej serce; utraciła najdroższą matkę, komuż się teraz poskarżyć? przed kim wylać łzę nad nieszczęśliwym ojcem, najjeźdźcą? Trzeci dzień schylał się do zachodu, słońce już rzucało ostatnie blaski pożegnania na biedną ziemię, niebo czerwieniło się od jego promieni. Nareszcie

skryło swe oblicze i sentymentalna, urocza cisza, otuliła ziemię, kołysała ją do snu. Tłumione gwary pozostałej czeladzi ucichły, tylko kiedy niekiedy zmieszał wieczorną ciszę szelest przelatującego nietoperza, lub jednostajne, regularne kroki czat, rozstawionych na wałach; w dali było słychać ciągle głosy zab, czasem szelest przeciągających żórawi lub dziurkich gęsi.

Przy oknie posepnej komnaty siedziała młoda dziewczeczka zamku; cały dzień wyglądała ojca i niczego ani dojrzeć, ani doczekać się nie mogła. Bała się ojca, lękała się samej myśli, że powróci z bogatym łupem, wydartym nieszczęśliwym, wśród krwawej bitwy, pomazanym krwią niewiną. Cała tyrania, całe przestępstwa jego stanęły jej w pamięci i trwożyły ją jak senne mary. Onaby chciała go ułagodzić i wlać mu do serca tej ciszy, spokojności anielskiej, jaka w jej sercu panowała. Ale próżno! Do niego nie miały przystępu żadne łagodniejsze uczucia, on zacierał pamięć dawnych rozboi nowymi rozbojami, dawnych morderstw nowymi, okropniejszymi morderstwami.

Za wałami trzykroć uderzono w trąbę, po trzykroć odpowiedziano z baszty. Po chwili spadł most zwodowy, na karym koniu wjechał pan zamku, zachmurzony bardziej niż zwykle, z obwiązaną głową; krew z rany płynąca oblewała mu twarz pooraną zmarszczkami. Obok niego jechał na siwym rumaku, smutny młodzian, w zbroi, otulony czarnym płaszczem. Był to znaczny jeniec, zabrany w napadzie nad Wisłą. Burgrabia przyjął pana z pochodniami, zaprowadził do przygotowanej komnaty, a jeńca do wieży, gdzie pod strażą miał oczekiwać dnia wykupu. Łupy złożono do sklepów, konie rozkielznano i puszczone na paszę. Pan zamku niebezpiecznie ranny, nie dopuszczał nikogo do siebie, oprócz swego powiernika burgrabiego.

I długie już upłynęły doby od owej wyprawy. Pan wyzdrowiał, ale siedzi smutny, samotny w swojej komnacie, do nikogo ani słowa nie wymówi, o wyprawie nie myśli. Szable pordzewiały, rumaki się popasły i rżą za gonitwą; pacholki kręcą głowami: co to się znaczy, co się zrobiło panu, co to za rycerz ów jeniec zabrany w ostatniej wyprawie, a czas jak płynie, tak płynie, a jeniec jak czeka, tak czeka dnia wykupu, a tu ani widać, ani słychać kogokolwiek. Nie dobrze się dzieje, nie

dobrze; gwarzył jeden pacholek drugiemu pod tajemnicą, że widział o północy, jak się przesunęła jakaś postać przez dziedziniec w czarnej szacie; weszła do wieżycy, gdzie siedział jeniec; powiadał, że słyszał jakąś cichą rozmowę, westchnienia. Inny prawil, że to samo widział już kilka nocy, ale bał się zaczepić, bo zdało mu się, że to zmarła pani zamku; inny mówił, że to widzi prawie co nocy. Strażnik przywtarzał to wszystko, a inni potakiwali głowami, źle to będzie, źle; jakaś wiedźma nawiedza zamczysko, by jeno nie wywołała nam pana.

Jednej nocy, jakiś szelest było słyhać i kilka słów jakiejś dziwnej rozmowy rozniosły lekkie podmuchy nocnego wiatru: „Moja droga, przysięgam!..... zanim ciernie okwitnie, zanim wiatr kwiecie rozwieje na cztery strony świata..... Moja luba! nie płacz!“ — Cicha rozmowa ucichła, jeszcze było słyhać jakoby głębokie westchnienia, jakiś cień mignął na wałach zamku, potem za wałami zabrzmiała podkowa i ziemia zastękała pod kopytem rumaka. Znow wszystko ucichło, jak gdyby to tylko złudzenie było!

Ranek zabłysnął, słońce wciskało się do komnaty, w której na wielkim łożu, na bogatych wezgłowiach, leżał posepny pan zamku. Całą noc prawie przepędził bezsennie, na chwilę tylko zasnął, ale we śnie dręczyły go dziwaczne marzenia; obudził się i był gniewny, bo go dręczyły znowu niestanne wyrzuty sumienia. Śniło mu się, że jacyś niezajomi rycerze napadli na zamek, wycięli czeladź do nogi, zabrali łupy i zamek obrócili w perzynę. Wtem wstąpił do komnaty burgrabia, w cichych słowach opowiedział panu jakieś ważne zdarzenie. Zadrzał starzec na słowa jego, porwał się na łożu i wskazał na drzwi, żeby wyszedł. Sam wstał z łoża, przechodził się po komnacie, nogi drżały mu w kolanach, to czerwienil się, to bladł na przemian. Kazał zawołać córkę. Przyszła. Błada, oczy pałały jakimś blaskiem pomieszania, przestachu, dwie łzy jak dwie perły, zrosiły jej blade lica; cała kibić chwiała się, jak gałąź płaczącej wierzby, nad grobem wygnańca. Pierunującym głosem zawrzasnął na córkę, ona upadła mu do nóg: „Przebaczania ojczel!“ — „Precz! nie masz przebaczenia!“ zawołał, i odepchnął nogą jedyne dziecko, tarzające mu się u nóg. „Precz z moich oczu!“ i wytrącił z swojej komnaty płaczącą córkę.

Od tego czasu pan zamku coraz niespokojniejszy, coraz bardziej opadał na siłach, włosy siwe przerzedzały się na głowie, przepędzał noce bezsennie, gniewał się, nie wiedział sam na kogo, ani dla czego. Nie pomogły nie ani śpiewy, ani geśl, ani gonitwy pacholek, ani harcowanie koniem i szablą mężniejszych z czeladzi; nic a nic nie pomogło, pan co dzień dziwniejszy. Tak upłynęła zima; nastąpiła wiosna; może piękne dni rozwesela pana, ulagoda go, może każe uwolnić córkę z więzienia, wypuścić jeńców; może chociaż wyjedzie do lasów na zwierza.

Wiosna nadeszła z całą przyjemnością i wonią, zazieleniły się łąki, pola, lasy. Sko-

wronek wynuczał pieśni na podziękę Panu Bogu za piękne dni; zaby odzywały się na błotach, żórawie gruchały piosnkę powitania, żeglując ponad zamkiem. Dzikie geśli leciały wysoko pod niebiosami na znak, że będzie ciepło. Później, wieczorami, nucił słowiczek miłosne piosnki swej kochance, na kwitnącej wierzbie, w sadzie ponad ruczajem; co wieczora nucił tak pięknie i rzewnie, co wieczora siedziała dziedziczka zamku przy oknie zakratowanym swego więzienia, i płakała, i płakała, i przeklinała dzień, godzinę swego urodzenia; a słowiczek śpiewał jak zawsze, rzewnie melodyjnie; zaby rechtały, a sowa wołała, ukryta w jakimś lochu zamku: pójdź! pójdź! a tu nikt ani nie przyszedł, ani wyszedł, ani nie umarł. Pacholiki gwarzyli smutnie, burgrabia smucił się nad panem, żal mu było córki pańskiej, że tak okrutnie cierpiała w więzieniu. Ale nic się przecież nie zmienialo, tak sama zawsze panowała jednostajność. Drzewa już porozwijaly się zupełnie; grusze, jabłonie, czeremchy, leśne maliny kwitły, przejmowały powietrze rajską wonią, potem opadły kwiecie, wiatr je porozdmuchiwał na wszystkie strony i już ani śladu nie było. I smutno było w zamku i smutno, pan się gniewał i nudził, panna płakała a płakała za kratą więzienia, a czas płynął tak wolno, tak smutnie, jak sine wody Noteci; tak poważnie, jak Wisła śród upalów lata.

(Dokończenie nastąpi).

Jakób Cisyński.

W części Dolnego Śląska, południowej Brandenburgii i wschodniej Saksonii żyje naród słowiański Serbo-Łużyczan, otoczony ze wszech stron morzem niemieczny. Byłto niegdys przed 1000 laty, naród liczny i dzielny, ale w ciągu wieków fale niemieczny podmywały go i niszczyły, aż teraz została z całego narodu tylko wyspa słowiańska, otoczona morzem germanizmu a leżąca jeszcze około 200 000 starych prawdziwych Słowian, którzy w ostatnich dziesiątkach lat bronią się nader dzielnie przed zalewem i utonięciem w morzu germańskim.

Niegdyś nasz naród polski sąsiadował bezpośrednio ze Serbo-Łużyczanami, którzy nawet w pewnym okresie czasu wchodzili w skład państwa polskiego (za króla Bolesława Chrobrego), ale niemieczną zalała Śląsk Dolny i we wielkiej części Śląsk Środkowy i oddzieliła nas znacznie od tego narodu.

Wspominamy o tem, bo właśnie przed kilku dniami, dnia 16 b. m., zmarł w Panczycach w Saksonii jeden z najdzielniejszych synów narodu serbo-łużyckiego, ś. p. Jakób Cisyński, którego właściwe nazwisko brzmiało Bart, a który jako wielki patriota i pisarz przyczynił się niemało do wzmocnienia bytu swego narodu.

Jakób Cisyński urodził się w roku 1856 w Kukowie w Saksonii czyli w tak zwanych Górnych Łużycach; z powołania był księdzem.

miłował on wielce i gorąco swój naród i swą
ziemię ojczystą. Pisał dla swojego ludu pię-
ne i prawdziwym natchnieniem poetycznym
ję odznaczające wiersze, które wydał w kilku
omach.

Z głównych jego pism poetyckich wymie-
niamy: 1) „Kniha sonettow“ (księga sonetów),
wydana w roku 1884, w której opisuje piękno-
ści ziemi łużyckiej i przywodzi na pamięć róż-
ne wspomnienia dziejowe; jest tam jeden so-
net sławiący króla Jana Sobieskiego oraz
3 sonety tłumaczone z Mickiewicza; 2) „Formy“,
wiersze wydane 4 lata później po sonetach;
3) „Prziroda a wutroba“ (przyroda i serce),
piękne również wiersze wydane w roku 1897
na jubileusz 50-letni serbo-łużyckiej „Macierzy“;
w których przeważa patryotyczna nuta. Dalej
wydał Ciszynski dramat w 5 aktach „Na Hro-
dziszću“, którego treść jest wzięta z dawnych
czasów, gdy na Łużycach zaprowadzono chrze-
ścijaństwo, oraz komedję w 4 aktach „Stary
Serb“ — i wielu innych rzeczy w czasopiśmiech.

Bez zaprzeczenia jest Jakób Ciszynski naj-
większym poetą serbo-łużyckim, jest Mickiewi-
czem swego narodu. Wiersze jego odznaczają
się pięknym stylem, polotem myśli żywym,
głębokiem uczuciem i prostotą, ale przedewszy-
stkiem gorącym zawsze patryotyzmem; patryot-
yzm czysty wniosły jest najgłębszą cechą
jego poezji.

Poza pracą pisarską brał ś. p. Ciszynski
żywy udział w całym ruchu narodowym swego
ludu i położył wszędzie niezapomniane zaśluzgi
dla tegoż ludu. Więc też imię tego zacnego
patryoty i poety łużyckiego będzie, nietylko w
Łużycach ale i w całej słowiańszczyźnie, wspo-
minane z czcią po wszystkie czasy.

Pogrzeb Ciszynskiego odbył się dnia 19 b.
m. we Wotrowie (po niemiecku „Ostro“) pod
Panicami w Saksonii czyli Górnych Łużycach.

Poniżej podajemy jeszcze kilka wierszy
Ciszynskiego w przekładzie polskim pani M.
Parczewskiej z Kalisza.

ZIEMI SERBSKIEJ.

O! ziemio moich ojców, chcę śpiewać dla ciebie,
Chcę słać twoje grody, zamki starodawne,
I wielkich bohaterów twych imiona sławne.
O! ziemio moich ojców, chcę śpiewać dla ciebie.
O! ziemio moich ojców, użyj swej potęgi,
Spraw, bym pieśnią nie krwawił dawnej twojej rany
A slyszal, jak w nagrodę, z nieba śpiew nam znany
Przedrze się do ciebie przez gór twych i wód wstęgi.
O! ziemio moich ojców, słać chcę doliny
I bujne twoje pola, wierzchołek gór siny,
I ciche, wielkie cnoty, wiernych twoich synów.
Ciebie ja mam na myśli w każdym z moich czynów,
O tobie nie zapomnę, nawet w chwili zgonu...
A twe imię brzmi słodko, jak srebrny głos dzwonu.

SERBOM ŁUŻYCKIM.

Najpiękniejszą pieśń zagraj harfo ukochana!
Niech dłoń moja akordy rzewne z niej dobędzie,
Niechaj zabrzmni w niej krwawe wojenne orędzie,
I cichy szmer wietrzyku i pieśń Serbom znana,
Dla Was, Łużycanie, harfa moja śpiewa.
Niech was nie trwoży praca i ciężki znój czoła,

Z poza mogły gromy
I do wspólności czynów i myśli zagrzewa.
Niech was obce zwyczaje i mowa nie nęci,
Najmniejszej grudki ziemi strzeżcie w swej pamięci,
Niechaj każdy z was dla niej życie swe poświęci.
Bo już w oddali ciemne rozchodzą się chmury,
Obumiera w przestworzu głos wróżby ponury,
I ponad głową Serbów jaśnieją lazury.

POD LIPĄ.

Stara lipa w cichym gaju stoi,
A na niej obraz Przczystej Panny,
Tam co dnia pacierz odmawiam ranny
W cieniu lipy ukochanej mojej...
Gdy noc wejdzie na niebios przestworze,
Z góry przybiega śliczna dzieweczka,
I dziwnie blade są jej usteczka,
Gdy rzewnie mówi: „Zlituj się Boże!“
Duma chwilkę, w niebo wznosi oczy,
I wieńcem wonnych róż i lili
Otacza obraz świętej Maryi.
A gdy do domu z powrotem kroczy,
Ścigam ją wzrokiem, długo, wokół,
I przed obrazem pochylam czoło.

MUZYK.

Latem widywać go można było codziennie
na ławce jednej z bocznych alei ogrodu. Białe,
srebrzyste włosy okalały twarz zadumaną, my-
ślącą, skupioną. Pod gęstymi brwiami wi-
dniały głęboko osadzone oczy. Dziwne oczy!
zawsze utkwione w jeden punkt daleki, nada-
wałyby one starcowi wyraz ponury, gdyby nie
wieczny uśmiech, który igrał na ustach. Naj-
częściej siadywał obok niego młody chłopczy-
na, z którym rozmawiał starzec, mówiąc doń
głosem cichym, łagodnym i miłym.

Pragnąłem bardzo bliżej poznać starca
i chłopczyka. Coś mnie do nich ciągnęło, mó-
wiło, że znajdę w nich jakieś niezwykle serca,
nie codzienne uczucia i myśli.

Jakoż dnia pewnego usiadłem obok nich,
przysłuchiwałem się słowom starca.

— Nie, dziecię moje — mówił on do mło-
dego swego towarzysza — szczęście jest w nas
samy! Jeśli mamy sumienie czyste, ani cho-
roba, ani głód, ani niedola nie złamie ducha
naszego. Możemy na chwilę zwątpić, ale tylko
na chwilę i znów wracamy do równowagi,
znów bierzemy się do pracy i... zapominamy
o smutku. Młody jesteś, masz talent, świat
stoi dla ciebie otworem, życie się do ciebie
uśmiecha.

— Ale kiedy mi smutno.

— Powinieneś poszukać sobie towarzystwa.
Ja ci w tem pomóż nie mogę, choćbym bar-
dzo pragnął.

Przesunąłem się do starca i rzekłem:

— Przepraszam pana, że osmielam się na-
rzucać mu moją znajomość, ale tak bardzo pra-
gnąłem pana poznać.

Wyciągnął do mnie rękę, którą uściśna-
łem serdecznie.

— Pan sądzi — zapytałem — że zdrowie,
majątek, powodzenie nie uszczęśliwią człowieka?

te bogaczów mamy nieszczęśliwych, ilu sławnych wynalazców, poetów, malarzy — czują się nieszczęśliwymi.

— Zgadza się z tem, co pan mówi, ale wskaż mi pan człowieka, na przykład niewidomego, który czułby się szczęśliwym?

Starzec uśmiechnął się łagodnie, zwrócił twarz w moją stronę tak, że czułem na sobie dziwny wzrok jego oczów.

— Ja jestem niewidomy.

Dreszcz przebiegł moje ciało.

— Pan nie żartuje?

— Bynajmniej. Mając lat trzydzieści, straciłem nagle wzrok; dziś zarabiam na nędzne utrzymanie grą na skrzypcach. Grywam na balach, na weselach, albo w restauracyi i jestem szczęśliwy.

Czułem, jak myśli mi się płaczą.

— Tak, mój panie. Ile razy smutno ci się zrobi na duszy, bez przyczyny żadnej, zachmurzy się twoje czoło, wspomnij niewidomego szczęśliwego muzykanta.

— Czy pan ma rodzinę?

— Nie, ten chłopczyzna z litości oprowadza mnie po mieście.

— To pan — zawołał chłopiec — z litości wziął mnie do siebie, gdy marził na zimnie. Cicho prosiłem o jałmużnę, nikt nie słyszał mych słów, tylko pan, macając laską przed sobą, doszedł i wziął mnie do siebie.

— No, no — rzekł starzec z uśmiechem — zapłaciłeś mi już za to, a w przyszłości, gdy będziesz sławnym muzykiem, dasz mi kąciak w swym pałacu.

Nie doczekał się niewidomy starzec, aż przytulony przezeń sierota zdobędzie sławę. Czuwanie po nocach przy instrumencie wyczerpało wątły organizm. Ze smutkiem widziałem, jak z dniem każdym miał się gorzej, jak coraz trudniej mu było wybrać się do ogrodu, gdzie lubił przysłuchiwać się zabawom dzieci.

Zamieszkałem razem z nimi i we trzech klepaliśmy biedę. Czasami, gdy wieczór miał wolny, czytywałem mu, a tak uważnie mnie słuchał, tak rozsądnie krytykował moje prace.

— To za smutne, to nieprawdopodobne, to źle opracowane.

Dziś starzec leży sobie w cichym grobie, wychowaniec jego jest znanym kompozytorem, a ja, ilekroć smutek mi bardzo dokuczy, przypominam sobie łagodnie uśmiechniętą twarz niewidomego muzyka i... wstydzę się mej małodusznej słabości.

Malarstwo.

— Dajcie mi spokój z obrazami, nie znam się na malarstwie.

Każdy, kogo zajmuje widok zmurszałych ruin na wyniosłości, kogo cieszy zieleń lata, kto z uwagą przygląda się zabawie dziecka, każdy, kto ma w duszy choć kropelkę poezyi — zna się na malarstwie tyle, by go obraz

zajmować mogły. Trzeba raz jeden spróbować.

Wchodzę do obszernej sali, na ścianach widzę dziesiątki obrazów. Część, być może, słabo przemówi do duszy mojej, ale znajdzie się kilka takich płócien, których treść odezwie się echem w tej duszy. Mnie zajmie obrazek z przeszłości. Widzę wszędzie zagrody szlacheckie, na werendzie siedzi zamaszysty szlachcic, pijąc miód, płyn rubinowy po wąsach mu kapie. Ot drugi Żagłoba.

Ciebie zajmie krajobraz. Las, a w lesie cisza wielka, bo drzewa śniegiem zasypane, a noc zimowa ciemna — ta cisza, wiejąca z obrazu, przemówi do twojej duszy. — Trzeciego zajmie szkic humorystyczny. Oblali chłopcy wodą dziewczynę i śmieją się, aż lzy im z oczu płyną. Dziewczyzna rozgniewana odgraża im się pięcią. Tyle życia w obrazku, że mimo woli śmiać się trzeba, patrząc na robawione twarze parobczaków.

Ten obraz wyobraża Chrystusa na krzyżu. Ból wielki wieje z obrazu, Syna Bożego, który odkupił cierpieniami swemi grzechy ziemskich dzieci, przedstawił nam malarz ból duszy Boskiej, która wie, że i teraz jeszcze nie nastąpią szczęśliwe dla ludzkości chwile, że długo, całe setki lat krew płynąć będzie, grzechy tradami okrywać ludzkość, że długo jeszcze złość i zawistę gnieździć się będzie w ludzkich sercach, stworzonych dla miłości i przebaczenia.

Owdzie znów istnieje ponury obraz konającej matki. Lekarz stoi bezradny, patrząc ze smutkiem na troje czolągających się po ziemi dzieci. Biedactwa nie wiedzą, kogo traca, nie przeczuwają nieszczęścia, szczęśliwe w swej nieświadomości. Chora też patrzy na dzieci swe, usta jej szepcą modlitwę. — Tuż obok wisi obraz wesoly. Wesele chłopskie, tańce, śmiechy, radość! I wszędzie, jak w życiu, migają przed oczami obrazy smutne i wesole, a każdy z nich budzi uczucie tęskne lub radosne, słabo lub silnie wstrząsające.

Malarstwo zrodziło się tysiące lat temu, lecz odrodziło się wówczas, gdy chrześcijaństwo powołało je do życia. Tylko malarstwo dać nam może obraz duchowych cierpień, wyrażonych w twarzy, tylko malarstwo może dać nam obraz oczów, duszy zwierciadła. Ilu ludzi, tyle wyrazów w spojrzeniach. Okrutne w oczodołach pijaka, smutne u zadumanej dziewczicy, zamglone śmiercią u zmartej, u szczęśliwej jaśniejące weselem. Malarstwo silnie działa na duszę naszą, często wstrząsa nerwami i budzi myśli i uczucia. Śmiejemy się i płaczemy wraz z tymi, których portrety widzimy.

Są tacy, którzy znają się na barwach, oświetleniach, umieją oceniać prawdę w malarstwie, ganią zbyt długą rękę przedstawionej osoby, lub dziwny kolor jej włosów; do tego dojść trudniej, ale malarstwo, sama treść obrazu, zajmować może każdego, nie mówmy więc, gdy kto nas zachęca do poświęcenia kilku fenygów dla zwiedzenia wystawy: dajcie nam pokój z obrazami, nie znamy się na malarstwie, lecz zwiedzajmy je.